

ANNA WIŚNIEWSKA

ur. 1942; Kłodno



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, ulica Narutowicza, ulica Strzelecka, ulica Szczerbowskiego, ulica Szczerbowskiego 9, ulica Strażacka, ulica Nadbystrzycka, ulica Dolna Panny Marii, ulica Lipowa, ulica Przy Krzyżu, Nowa Droga, aleja Piłsudskiego, ulica Godebskiego, dzieciństwo, rodzina i dom rodzinny, mieszkańcy ulicy Szczerbowskiego, piekarnia Henza, tartak przy ulicy Szczerbowskiego, Szkoła Podstawowa nr 13 w Lublinie, Hotel Victoria, Park Ludowy w Lublinie, Bieżeńcy, życie codzienne, magiel, hycel ,pracza ,pani Ławicka, pranie bielizny, handel, sklep Gallux, prace społeczne, rzeka Bystrzyca, wesołe miasteczko, koszary na ulicy Lipowej, kościół powizytkowski, apteka przy ulicy Narutowicza, apteka pana Pryleckiego, sklep pana Mydlarskiego, sklepy przy ulicy Narutowicza, sklep mięsny Społem przy ulicy Narutowicza, pan Respond, profesor Szczerba, edukacja, szkolnictwo, przedszkole pani Papieskiej, I komunія święta, Szkoła Podstawowa Sióstr Urszulanek UR w Lublinie, III Liceum Ogólnokształcące im. Unii Lubelskiej w Lublinie, Liceum TPD w Lublinie, koleżanki szkolne, studniówka, liceum w Milejowie, czas wolny, studia etnograficzne, UMCS, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, studia, nauki pomocnicze etnografii, fotografia, wyjazdy etnograficzne, Koło Naukowe Etnograficzne, Zespół Pieśni i Tańca Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, restauracja Lublinianka, Juwenalia, studencki czas wolny, Kozienalia, Archiwum PSK4, Archiwum Państwowego Szpitala Klinicznego nr 4 w Lublinie, plac Litewski, Miasteczko Akademickie UMCS, Chatka Żaka, kawiarnia Tip-Top, plac Marii Curie-Skłodowskiej, Wydział Humanistyczny UMCS, basen przy ulicy Grottgera, basen przy ulicy Lubomelskiej, lodowisko przy ulicy Grottgera, Kunicka Waleriana, Piec Manfred, Podgórska Maria, Podgórska Barbara, Podgórski Jan, Podgórski Antoni, Reinfuss Roman, Suchodół Władysław, Świdzki Jan, Urban Jan

1. Wspomnienia z Parku Ludowego

Mieszkałam bardzo niedaleko Parku Ludowego, na Szczerbowskiego, bardzo niedaleko terenów, które później były parkiem. Pamiętam wycieczki po wałach nad rzeką Bystrzycą, wtedy jeszcze tamte tereny były podmokłe. Właściwie należałoby je osuszyć, aby cokolwiek zrobić, ale sama idea Parku Ludowego wynikała z potrzeby stworzenia konkurencji dla Ogrodu Saskiego. To był rok [19]53, ponieważ w tym

czasie budował się tak zwany Biały Dom, czyli partia, która ukradła kawałek Ogródu Saskiego, to należało wybudować coś lepszego, większego, wspanialszego i bardziej nowego. Nie byłam już taka mała i brałam udział w pracach społecznych. Ten Park Ludowy powstał po prostu dzięki nam. To my, Lublinianie, go tworzyliśmy. Od pracowników uczelni, poprzez fabryki i tak dalej. Wszyscy tam pracowaliśmy. Ja, idąc przez park, mówiłam: „O, te drzewa, to właśnie my kopaliśmy dołki pod nie, nie sadziliśmy, tylko właśnie dołki kopaliśmy” Bywało tak, że moja klasa spotykała się z klasą mojej siostry na jakimś odcinku, a idąc troszkę dalej, spotykaliśmy się z odcinkiem, na którym uniwersytet pracował i moja mama sadziła te drzewa, także rzeczywiście był to czyn społeczny. Miałam ogromny sentyment do tego parku, już nie mówiąc o samolocie, który był wspaniały, kawiarnia w nim, pod spodem, gdzie można było lody dostać, nie, to było coś fantastycznego. Był tam również taki teren, gdzie można było uczyć się praw poruszania się po ulicach. Nie wiem, czy to PZ MOT zrobił, tego nie jestem pewna, ale skądś idea wyszła. To były zasady ruchu drogowego w miniaturce. Nie wiem, jak w tej chwili się przebudowuje ten cały Park Ludowy, do planów jeszcze nie zajrzałam, ale sądzę, że powinnam to zrobić. Bo ten park w pewnym momencie zaczął komuś przeszkadzać. Nie było mnie już wtedy w Lublinie, więc nie wiem, komu, ale został zapuszczony, zaniedbany, już nie mówię o tym, że zaraz zlikwidowano ten wspaniały samolot. Widać było, że nie ma gospodarza. Z jakiego powodu –nie mam pojęcia. Wiem z opowieści innych ludzi, że potem kilkakrotnie został podtopiony, bo to był teren zalewowy. Moja siostra, która jest botanikiem, powiedziała mi, że niewłaściwe drzewa sadzono, nie takie, które powinny rosnąć na terenach jednak podmokłych, no ale kto wiedział, wtedy był entuzjazm i zarządzenie odgórne. Dla mnie również Park Ludowy był najprostszą drogą do dworca, po prostu na skrót, że tak powiem, „na skuśkę” się szło przez park, już teraz tak nie można, bo znowuż ktoś okroił, to znaczy powstały Targi Lublin i tędy już przejść nie można.

2. Jeszcze o Parku Ludowym

Chcę powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy związanej z Parkiem Ludowym. W domu, w którym mieszkaliśmy, właścicielką była pani Jaworska, rodowita Lublinianka, która opowiadała mi, że za czasów jej młodości, kiedy były takie duże wylewy, można było poruszać się tam łódkami. I w niedzielę pani Jaworska chodziła na łódki. To świadczy o tym, jak podmokły był ten teren. Później troszeczkę podwyższono wały, ale ja pamiętam doskonale powódź, która zdarzyła się w Lublinie w roku [19]47 chyba, dokładniej podaję to w mojej książce o Lublinie, którą właśnie piszę. Powódź była niesamowita, woda doszła aż do Nowej Drogi, czyli na wtedy Świerczewskiego, dzisiaj Piłsudskiego, doszła aż pod wodociąg! To była jedna z większych powodzi w Lublinie. Zostały zerwane przęsła mostu drewnianego, który był niedaleko cukrowni. Jak te wody opadły, chodziliśmy oglądać to, ale to było jeszcze, tak jak mówię, przed założeniem Parku. Niestety to jest wiadomość z prasy, ale do upadku Parku

przyczyniły się nie tylko wylewy, ale również to, że gdy likwidowało się cukrownię, to te osadniki wstrętne, śmierdzące, ten muł z osadników wyrzucono na teren Parku. To jest bestialstwo, to jest coś, za co powinno się karać ludzi, no ale trudno, tak się stało. Nawiasem mówiąc, te osadniki były miejscem, gdzie ptaki przelotowe, takie przylatujące, osiadały, odpoczywały i karmiły się trochę tą melasą, jakimiś tam innymi historiami i moja mama, która była botanikiem, a z zamiłowania ornitologiem, prowadziła mnie na podglądanie ptaków i tam pierwszy raz w życiu zobaczyłam ptaki, których normalnie nie widuje się w Lublinie, bo one tam tylko na noc czy kilka dni siadały na tych osadnikach. W momencie zlikwidowania tych osadników i wędrówki ptaków też się pewnie zmieniły.

3. Ulica Narutowicza i nie tylko

Używam nomenklatury „Nowa Droga” mimo że wzrastałam w okresie, kiedy to była Generała Świerczewskiego, ale nikt z Lubliniaków nie akceptował tej nazwy, i mówiło się „Nowa Droga” No więc były tam małe sklepiki, tam kupowało się masło, jakieś podstawowe rzeczy, a róg Nowej Drogi i Narutowicza, to była cała sieć małych sklepów, były to domy na ogół jednopiętrowe albo wręcz parterowe, na skrzyżowaniu, tym wielkim skrzyżowaniu pięcioramiennym, był dom, który do dzisiaj stoi, dom, w którym w tej chwili na parterze znajduje się bank, tam był sklep spożywczy, w którym najczęściej robiło się zakupy, tam pani sprzedawała jeszcze na tak zwany zeszyt, oczywiście raz w życiu skorzystałam z tego. Potem dostałam szaloną burę i mama przyszła, i zrobiła tej pani sprzedawczyni awanturę, że dała mi cukierki „na zeszyt” Troszeczkę dalej, idąc ulicą Narutowicza w kierunku krzyża, dawniej to była ulica Przy Krzyżu, pomiędzy Graniczną, troszeczkę w głębi, był mały targ. I tam właściwie większość zakupów robiło się takich codziennych. Nawet w poprzedniej mojej książce, o mojej matce, opisałam historię, kiedy mama kupowała tam snopki żytniej słomy na sienniki dla „bieżeńców” jak mówiło się w domu moim, czyli tych, którzy przyjechali ze Lwowa i okolic, zatrzymywali się u ludzi i wtedy trzeba było mieć gdzie ich położyć [zob. relacja Pani Anny Wiśniewskiej z 26-06-2018 –przyp. red.]. Może cofnę się troszeczkę już nie na ulicę Narutowicza, ale na Dolnej Panny Marii, gdzie była piekarnia pana Hansego. To był Żyd, który podkreślał to, że jest Żydem i podkreślał, że jest wdzięczny za przechowanie swoim polskim znajomym mieszkającym niedaleko. Chodziliśmy tam codziennie po świeże bułeczki i tam grzeczne dzieci, czyli ja i moja siostra, dostawałyśmy świeżo wyjęty z pieca cebularz, który pan Hanse smarował masłem. Boże! Ja pierwszy raz, jak przyjechałam do Lublina, to poszłam znaleźć tę piekarnię, niestety już jej nie ma, a potem dzień w dzień chodziłam do innego sklepu i kupowałam cebularze.

4. O cyrku i wesołym miasteczku

Jak się wchodziło na ulicę Dolną Panny Marii, na rogu był pusty plac. Tam najczęściej stał cyrk, tam przyjeżdżało również wesołe miasteczko. Cyrk przyjeżdżał

raz na rok, nie wiem, jak się nazywał, i wtedy cała Nowa Droga i okolice ożywały. Zdaje się, że wynajmowano nawet chłopaków do pomocy przy rozstawianiu tego cyrku. Natomiast mój ojciec, który był w tym czasie lekarzem weterynarii, bo potem skończył medycynę, miał opiekę weterynaryjną nad cyrkiem, w związku z tym dostawaliśmy łóżę w cyrku, tak bliźutko areny. Ja byłam zupełnie małym dzieckiem, ale chyba od tego czasu rozpoczyna się moja fascynacja cyrkiem, sztuką cyrkową, chętnie oglądam różnego rodzaju festiwale, nie wiem, czy w Polsce pokazywane, ale w Szwecji tak, festiwale cyrkowe w Monako. To jest piękna impreza, fantastyczna. Jeszcze dawniej Książę Rainer prowadził cyrk, zanim miał swoje przedstawienia, to wyruszała taka procesja: słoń szedł, wielbłądy, pieski biegły, mnie najbardziej interesowały i fascynowały zwierzęta, których w ogóle nie znałam, bo przecież Lublin nie miał i nie ma ogrodu zoologicznego. Natomiast nie podobał mi się klaun i do dziś nie bardzo to lubię, mimo że byłam taka smarkata, uważałam że te dowcipy są takie „niemieckie”[ciężkie, ponure, ordynarne –przyp. red.]. Jeśli chodzi o jazdę konną, to ja w ogóle kochałam konie i jeździłam konno, więc chyba zaszczepliłam się tą fascynacją końmi jeszcze w okresie cyrku. Kiedy cyrk wyjeżdżał, robiło się pusto, ale na jego miejsce przyjeżdżało wesołe miasteczko i to było coś. Gabinety z lustrami, różnego rodzaju karuzele, kiedyś rozczuliłam się, jak na Zana zobaczyłam karuzelę i wesołe miasteczko, które nagle się pojawiło, a po tygodniu odjechało dalej, przypomniało mi się wtedy moje dzieciństwo. Mieliśmy taką troszeczkę nedorozwiniętą gosposię, Emilcię. Jak przyjechało takie wesołe miasteczko, to ta Emilcia oszalała. Ona była dziewczyną z głębokiej wsi, gdzieś tam nadbużańskiej, zobaczyła to wszystko kolorowe, wspaniałe, więc od razu poprosiła o swoją tygodniówkę, a może nawet i miesięczne wynagrodzenie i poszła. Zginęła! Cały dzień jej nie było, pod wieczór ktoś ją przyprowadził, zupełnie zieloną i mama pyta: „Emilcia, coś ty robiła?!” ona na to: „A ja na 'krauzeli' jeździła!” Przejeżdżała wszystkie pieniądze.

5. Jeszcze o sklepach na Narutowicza

Może wrócę jeszcze na chwileczkę na ulicę Narutowicza. Tam był świetny sklep mięsny, coś pięknego, wyłożony kafelkami do góry, z metalowymi hakami, z piękną ladą. Nie wiem, czy wtedy to był już upaństwowiony sklep, czy był prywatny. Tam przychodziło się po pięć deko wspaniałej szynki, tam wisały całe półcie mięsa, już nie ma tego sklepu oczywiście. Zapach tamtej szynki zapamiętałam na całe życie, żadna potem już mi tak nie smakowała. Obok, po drugiej stronie tego samego domu, był sklep pana Mydlarskiego, *nomen omen*, ponieważ to był sklep mydlarski, a właściwie można powiedzieć sklep chemiczny, w którym kupowało się między innymi naftę, bo w tamtym czasie często wysiadał prąd i w związku z tym zawsze w domu była lampa naftowa. Z tego sklepu, którego dziś też już dawno nie ma, zapamiętałam właśnie ten zapach nafty i jakichś innych chemikaliów. Na Narutowicza był też słynny sklep pana Władysława Suchodoła, odnalazłam jego nazwisko w rejestrze masarzy, czyli to

sprawdzone. Ten sklep znajdował się bliżej Nadbystrzyckiej, to może nie był tak elegancki sklep, ale zaraz za drzwiami była wytwórnia, czyli prawdziwa masarnia. Tam się wędziło, także można było kupić ciepłe kiełbasy, w ogóle wędliny, niemalże prosto od wędzenia. To był sklep, który mocno zapamiętałam i kiedy dziś tamtędy przechodzę, niesamowicie brak mi tego zapachu, ja w ogóle jestem zapachowcem.

6. Hycel z Nadbystrzyckiej

Idea napisania książki o dawnym Lublinie urodziła się wtedy, kiedy z bratem, który przyjechał z Montrealu, poszliśmy na taką nostalgiczną podróż po między innymi ulicy Narutowicza, bo chcieliśmy odnaleźć naszą szkołę podstawową numer trzystaście. Jak się pisze taką książkę, to człowiek musi całą masę gazet przewertować, ale nigdzie nie znalazłam informacji o hyclu. Hycel, inaczej rakarz, to pan, który jeździ po mieście i łapie głównie psy. Tak się złożyło, że tam, gdzie kończy się Narutowicza, a zaczyna się Nadbystrzycka, mieszkała moja koleżanka ze szkoły, Ewa, której tata był hycliem, nie pamiętam ich nazwiska. Mój ojciec powiedział, że pod karą strasznego bicia absolutnie nie wolno nam chodzić tam, bo tam na podwórku jest dół, w którym on te psy zabija i utylizuje. Oczywiście jeżeli jest jakiś zakaz, to dzieci zaraz chcą ten zakaz złamać. I któregoś dnia poszłam tam, rzeczywiście wchodziło się przez bramę, którą może mógł wjechać wóz tego pana. To był wóz z taką skrzynią otwieraną z tyłu, na zewnątrz wisiało może nie lasso, ale chyba arkan, taka pętla z trzonkiem, na którą on łapał te psy. Pan hycel znalazł we mnie wspaniałego słuchacza i natychmiast zaczął mi opowiadać o tym, jak łapie się psy, pokazał mi ten dół zasypany wapnem, chwalił się tym, że on takie bezpieczne psy oprawia, te wnętrzości i tak dalej zakopuje, a skórę z nich zdejmuje i bardzo dobre na reumatyzm są spodnie, które się z takiej skóry robi. Tam była również stajnia, stał w niej ten wóz i koń, pewnie ze względu na tego konia znał tego pana mój tata-weterynarz. Zasiedziałam się tam długo, także lanie rzeczywiście było rzetelne.

7. „Wielkie pranie”

Niedaleko hycla był magiel ręczny, taki wielki, skrzyniowy, dokładnie opisuję go w książce. Tym razem przyjechaliśmy do Lublina we troje, to był 2016 rok, przyjechałam do Lublina na promocję książki, przyjechali również mój brat i siostra. Brat był za mały, żeby to pamiętać, on w ogóle nie chodził do magla, więc nie pamiętał, jak magiel wyglądał. Idąc tam, z siostrą ukułyśmy opowiadanie pod tytułem „Wielkie pranie” To były czasy, kiedy nie było pralek, do naszego domu przychodziła pani Ławicka, zawodowa praczka, ona dostawała wyżywienie, pieniądze i litr wódki, taka była zapłata. Pranie na ogół trwało dwa dni, ale litr wódki był na jeden dzień, także w sumie dwa litry dostawała. Normalnie balia drewniana, duża stała na strychu, więc na tę okoliczność zносиło się ją. W dzień poprzedzający pranie, „wielkie pranie” bo to duże sztuki się robiło wtedy, chyba raz na miesiąc, moczyło się rzeczy przeznaczone do prania w wannie. To pranie sobie stało, a następnego dnia

przychodziła pani Ławicka, wносиło się balię, stawiało się ją na dwóch czy nawet trzech stołkach w kuchni, bo łazienka była za mała, żeby tam prać, za ciemno było poza tym. I w cebrzyku przynosiła pani Ławicka to wymoczone przez noc pranie, pościel, ręczniki i tak dalej, wrzucała do balii, a z piecyka, z kuchenki zdejmowało się gar ogromny z wrzącą wodą i wlewało się do tego, dodawało się szare mydło i chyba ono rzeczywiście się nazywało „Jeleń” Zapach roznosił się po całym domu i oczywiście dzieci były natychmiast wyrzucane z kuchni, pani Ławicka nie lubiła, jak jej się bachory pętały pod nogami. Pranie wymagało ogromnej siły, bo trzeba było trzeć na tarze, ja tylko pamiętam, jak taki kosmyk włosów przylepiał się pani Ławickiej do spoconego czoła, potem znowuż trzeba było opróżnić tę balię. To był cały proces, naprawdę długotrwały. Na koniec kilkakrotnie się płukało, ale płukała już w wannie, bo chyba było łatwiej nalewać wody, zwłaszcza że tam nie trzeba było mieć gorącej wody, no a potem w ostatnim momencie dodawało się farbki do bielizny. Specjalnie kupowało się u pana Mydlarskiego właśnie niebieską farbkę, którą pani Ławicka dodawała do krochmalu gotowanego w domu. Krochmal był z mąki kartoflanej, rozrobionej w wodzie. Później, jak już powykręcała, wyżęła to wszystko, to była straszna robota, to w lecie wynosiła to do naszego ogrodu, a w zimie na strych. Ta pościel pachniała potem tak jak żadna inna na świecie. To był jeden dzień. Drugiego dnia, jak wyschło to wszystko, przychodziła pani Ławicka, dostawała swoją gażę i razem ze służącą, służące wtedy były powszechne, wyciągały, oczywiście ręcznie te wszystkie sztuki duże, no i tego dnia szło się do magła, o którym już wcześniej wspomniałam. Magiel prowadziły siostry „zytki” [potoczna nazwa sióstr ze Zgromadzenia Sług Jezusa pochodząca od patronki służących, św. Zyty –przyp. red.]. To było stowarzyszenie bezhabitowych zakonnic, powstało w Krakowie w latach dwudziestych chyba albo nawet wcześniej [właściwie w Warszawie w 1884 roku –przyp. red.], stowarzyszało przede wszystkim służące i osoby pracujące w tym sektorze, bo tam byli również kamerdynerzy i tak dalej, czego oczywiście już w późniejszych czasach nie było. Siostry, mówiło się „zytki” na nie, one w Lublinie miały nie tylko ten magiel, ale również jadłodajnię. Pani Zyta, głównodowodząca, pewnie się nie nazywała Zyta, ale wszyscy mówili Zyta, miała dwa pomieszczenia w narożnym domu, koło Narutowicza i na Narutowicza, wchodziło się do piwnicy i tam stał ogromny, ogromny magiel, ta górna skrzynia ważyła ponad sto kilogramów, wypełniona była jakimiś gładzami. Od czasu do czasu dostępowaliśmy zaszczytu wchodzenia tam, zobaczenia tego i to było wielkie przeżycie. Magiel był taki duży, że musiały go obsługiwać dwie osoby. Jedna, właśnie Zytka, stała przy części, w której jest mechanizm, a druga osoba kręciła korbą. To jest też cały ogromny proces, bo trzeba nawinać na wałek, w odpowiednim momencie wkładać to, zastopować tę całą maszynę, ta górna skrzynia podnosi się do góry, wtedy wsuwa się ten pierwszy wałek i to jest szalenie niebezpieczny moment, bo wtedy, gdyby poleciała ta skrzynia, to może zmiażdżyć człowieka. Można było zostawić w tym maglu rzeczy do zmaglowania i pani Zyta razem ze swoją współpracownicą robiła całą robotę, a

potem tylko przychodziło się odebrać, a to wszystko było ślicznie zapakowane. W naszym przypadku maglowała z pracownicą pani Ławicka. Jeszcze za mojej pamięci wprowadzono magiel elektryczny, elektryczność także, ale pani Ławicka nigdy nie chciała z tego skorzystać, bo mówiła: „E tam! Elektryka to elektryka, ale ja mam wycucie, jak sama kręć!” Raz w miesiącu się takie pranie robiło, nie częściej. Prało się normalnie w domu jakieś mniejsze sztuki i tak dalej, nie było wtedy pralek, „Frania cicho pierze” pojawiła się znacznie później, pranie zwykle robiła służąca.

8. Pośredniczka służących

Tak nawiasem mówiąc, teraz dostałam w prezencie książkę o służących. Niestety nie zapamiętałam nazwiska autorki, ale jest to praca nie beletrystyczna, nie wspomnieniowa, ale genialna! Być może urzekła mnie tak dlatego, że jestem etnografem z wykształcenia. Ta książka pokazuje społeczeństwo polskie, fantastyczne służące. Właśnie podczas czytania tej książki nagle pach! w nocy otworzyła mi się klapka i powiedziałam sobie: Michalina! I ponieważ zwykle mam koło siebie notesik, zapisałam: Michalina i poszłam spać. Następnego dnia rano siadłam do komputera i zaczęłam opisywać, jak to, nie wiem, może trzy, może cztery czy pięć lat miałam, babcia zabrała mnie na ulicę Narutowicza do pani Michaliny, która prowadziła rodzaj takiego pośrednictwa dla służących. Było to na pierwszym piętrze, nie pamiętam, który numer domu. Na pewno gdzieś niedaleko Okopowej. Idąc od Narutowicza, ode mnie, że tak powiem, to chyba po prawej stronie, bo potem, po drugiej stronie, była apteka. I siedziały tam w takim ciemnym korytarzyku, z bardzo słabym oświetleniem, dziwne kobiety w chustach kraciastych narzuconych na siebie, skulone, babcia weszła do pani Michaliny, a ja, ponieważ jestem gaduła i ciekawska, więc natychmiast zaczęłam panie wypytywać, czy one nie czekają przypadkiem w kolejce do dentysty, bo mi się taka kolejka tylko z tym kojarzyła. Babcia poszła po prostu uzgodnić kolejną służącą, jak podejrzewam. Ta Michalina to również była „zytka” nawet w tej książce *Służące* wyczytałam, że właśnie „zytki” organizowały taki rodzaj pośrednictwa pracy po to, żeby te biedne dziewczyny ze wsi nie trafiały na przykład do domów publicznych.

9. Pasmateria i apteka

Myślę, że jak budowano ulicę Narutowicza, to nie myślano o tym, żeby robić tak dużo sklepów i dlatego potem partery poszczególnych kamienic były zmieniane na sklepiki. Dla mnie takim sklepikiem, który został w pamięci, był sklep pana Responda. Ten sklep był już za moją szkołą, bliżej Okopowej. Moja babcia szczególnie lubiła tam chodzić, bo ten sklep przypominał jej takie stare żydowskie sklepiki z Żółkwi na północnej Ukrainie, gdzie się wychowała. Rozmawiała sobie z panem Respondem i pamiętam, że jak miałam może z dziesięć lat, pan Respond powiedział, że takie mu „domiary” zrobili, że niestety będzie musiał likwidować sklep i nam było tak strasznie przykro, ale później po prostu rozebrano te budki, bo to były parterowe wręcz sklepiki

i postawiono domy mieszkalne. W ogóle w pierwszym momencie po powrocie tutaj myślałam, że ulica Narutowicza niewiele się zmieniła, a potem, jak człowiek lepiej się przyjrzy, to widzi: to się zmieniło, to się zmieniło, to się zmieniło, także żyjemy po prostu z dnia na dzień. Pan Respond miał sklep z pasmanterią i różnego rodzaju guziki, które kochałam. Tam się kupowało wstążki dla nas, dla mnie i dla siostry. On nawet miał takie wstążki, których nigdzie indziej nie można było dostać, bo były szerokie i jeszcze miały srebrną niteczkę, więc to były takie ekskluzywne wyroby. Podejrzewam, że nawet miał trochę materiałów sprzed wojny, chociaż nie jestem tego pewna. To było ciekawe, bo niemalże po drugiej stronie był następny sklep z pasmanterią, który się zachował, to był sklep „Społem” Tam siedziała pani, która miała tak zwaną repasację. Siedziała przy stolczku i łąpała „oczka” w pończochach. W tamtym czasie pończochy były dosyć drogie, nylony, potem kaprony sprowadzane z Rosji i zaciągnięte pończochy nosiło się do takiej pani i łąpało się „oczka” To był zawód powszechny w tym czasie, to znaczy niemalże we wszystkich większych lokalach można było znaleźć panie łąpiące te „oczka” Ale któregoś razu szłam sobie na spacer z moim chrześniakiem, Bartusiem, malutkim dzieckiem, i postanowiliśmy zajść do tego sklepu, ten sklep miał parkiet, ponieważ był przerobiony z jakiegoś mieszkania, które zostało zalane i parkiet się podniósł. I wtedy Bartuś, bardzo inteligentne dziecko, powiedział: „Nareszcie uwierzyłem, że ziemia jest okrągła!”

Następną historią handlową, jeżeli tak można nazwać, była apteka. Apteka znajdowała się zaraz za rogiem Okopowej, wchodziło się do niej po schodkach, tak się złożyło, że tam pracowała jako kasjerka mama mojej przyjaciółki, Eli. Chyba była to apteka, która znajdowała się najbliżej nas. Była w dosyć ciemnym kolorze, w sensie meble były ciemne, na wierzchu stały jakieś mosiężne przyrządy, wagi, niewagi, różnego rodzaju moździerz, w których mieszało się i rozdrabniało różne składniki, bo były to czasy, kiedy jeszcze robiło się niektóre leki na miejscu, w aptece. Chcę powiedzieć o jeszcze jednej śmiesznej historii. Razem z grupą koleżanek chodziłyśmy do kościoła „wizytkowskiego” czy „powizytkowskiego” na majowe nabożeństwa, potem wychodziło się na spacer. Na te majowe przychodziły również panny, niedawne nasze koleżanki z podstawówki, a dziś można by to nazwać „puszczalskie” które wystawały normalnie pod koszarami na Lipowej. Wyśmiewałyśmy je głośno. Któregoś razu te panienki dopadły nas. W takie plastikowe siatki włożyły bańki do mleka, metalowe, i spuściły nam łomot. Pamiętam, że uciekając, wpadłam do tejże apteki na rogu Okopowej, o której mówiłam, i tam się ukryłam. Tam farmaceutką była pani, która znała dobrze mojego ojca. Tata ją nazywał „pani Miodek” tak słodka była i ona mnie schowała za tę ladę. Dzięki temu nie dostało mi się tak bardzo. Te panienki, o których wspomniałam, swoje usługi prowadziły często przez siatkę. Dosłownie! Bo koszary na Lipowej dosłownie przylegały do siatki, można było otworzyć okno i na przykład buziaka ukraść, a czasami więcej. Ja tę wiadomość o pannach starałam się jakoś zweryfikować. Kilka osób mi to potwierdziło, więc to prawda. W ogóle Lipowa się tak zmieniła, że to właściwie trzeba by długo

opowiadać. Cały ten teren, który „Plaza” obejmuje i tamta ulica to były koszary wojsk, a kiedyś dawniej to były tereny wystawowe. Ale Lipowa to jest oddzielny temat.

10. Ulica Narutowicza i okolice

Tam, gdzie w tej chwili jest hotel „Victoria” też były budy tylko. W książce zamieszczam zresztą zdjęcie, które zrobił w bodajże [19]59 albo w [19]60 roku mój przyszły mąż, z zawodów ulicznych, jego interesowały samochody, ale ja zobaczyłam, że ludzie stoją na tych budach, które były w tamtych czasach na terenach, na których później wybudowany został hotel „Victoria” W domu, w którym teraz jest właśnie bank, narożny, mieszkał na piętrze znakomity urolog i chirurg, profesor Szczerbo, świeć Panie nad jego duszą. Dziękuję panu profesorowi, że uratował mi nerkę w momencie, kiedy warszawscy urolodzy mówili, że nerka jest do usunięcia. Profesor, znający dobrze mojego ojca, powiedział: „Uratujemy ci, Jasiu, córkę!” I uratował, nerka funkcjonuje do dziś. To było dawno, potem dom, w którym mieszkał profesor Szczerbo, podobno zaczął się chwiać i groził zawaleniem, ale jak widać, stoi nadal i jest dobry. To jest koniec ulicy Szopena, ten narożny dom. Chyba numer 76, ale nie jestem pewna. Tak nawiasem mówiąc, przy ulicy Szopena był najbliżej nas położony postój taksówek. Na rogu Okopowej i Szopena były z kolei jakieś sklepiki, jakaś składnica, chyba harcerska. Natomiast pamiętam doskonale, że jak byłam już panienką, w [19]59 roku, zakład otworzył pan Kaczmarek, to był zegarmistrz i tam był wspaniały szyld z zegarem, którego oczy kręciły się w prawo-lewo, prawo-lewo, i to był sekundnik. Powiedziano mi, że zlikwidowano ten szyld, mimo że zakład w dalszym ciągu jest. Jak pośledziłam troszeczkę prasę, okazało się, że cała batalia była o to, żeby wrócił. Jest na nowo! I tylko jedna rzecz jest inna – numer telefonu, który był cztero- czy pięciocyfrowy wtedy, dziś już jest inny. Idąc dalej, po drugiej stronie był sklep „Galuxu” „Galux” to był koniec pięćdziesiątych lat. To był tak ekskluzywny sklep, że ja właściwie tam nigdy nie robiłam żadnych zakupów. Później zlikwidowano go i otworzono sklep firmowy „Chełmka” Szukając informacji o „Chełmku” natknęłam się na informację, która dla mnie była fascynująca. Okazało się, że „Chełmek” to jest zakład, dawniejszy zakład „Baty” bo czeski „Bata” chcąc w Polsce również mieć sklepy, otworzył swoją filię w Chełmku. I tak się to rozrosło, potem upaństwowiono i tak dalej. Piękne buty tam kupiłam, to się pamięta na całe życie, na takim wysokim obcasie. Nigdy już potem nie mogłam ich nosić, za wysokie dla mnie.

11. Słowo o historii

Jedyne sklepy, które były i które zostały, to były sklepy „Społem” Jak dowiedziałam się, że zmieniają nazwy ulic w ramach tak zwanej dekomunizacji, między innymi ulicę [Jana] Hempla, pomyślałam sobie: „Oj, jacy krótkowzroczni jesteście!” Przecież Hempel, to właśnie on, zasłużył się dla miasta bardzo, organizując tę tak zwaną spółdzielczość i sklepy „Społem” to sprawa właśnie jego i pani [Wandy] Papiewskiej.

Szkoda. Moim zdaniem jest to pochopna decyzja, bo Hempel był nawet zamordowany w czasach „czystki” tam w Moskwie, uważam że pośpieszyli się z tą zmianą. Te same wątpliwości, jakąś niechęć mam do zmiany nazwy ulicy Pierwszej Armii. Ci młodzi ludzie, którzy tam walczyli, w tej Pierwszej Armii, często synowie zesańców, nie walczyli o komunizm, Związek Radziecki *et cetera*, oni walczyli o Polskę i do Polski chcieli wrócić. To niejednokrotnie była jedyna możliwość dostania się do kraju, bo to nie jest pojedyncza historia. Ja mam w rodzinie zesańców, mój dziadek, Czesław Niezabitowski, który pracował w delegaturze rządu londyńskiego i mój wuj zostali zesłani. Wujek był daleko, daleko za Kołymą, na północy i do niego nie dotarła wiadomość o tym, że powstaje armia Andersa ani nic, bo nie docierała do tych ludzi. Natomiast do innych, bliżej położonych obozów, wiadomość doszła, jak organizowało się Pierwszą Armie i ilu znam takich ludzi, którzy właśnie z łagrów poszli walczyć. Ale to są moje refleksje, ponieważ książka ma tytuł „Refleksje” więc między innymi takie refleksje mam. Bo tylko się wydaje, że tak łatwo można to wszystko przekreślić! Byłam w Paryżu i patrzę: co, stacja Stalingrad? Nie, niemożliwe, dlaczego oni to zostawili? Bo to jest HISTORIA!

12. Przedszkole i pierwsza szkoła podstawowa

Przez rok chodziłam do przedszkola pani [Wandy] Papiewskiej, to przedszkole znajdowało się właściwie na ulicy Narutowicza. Papiewska jest osobą znaną, była siostrą pana [Jana] Hempla i przedszkole znajdowało się w Domu Spółdzielczości na drugim albo trzecim piętrze. Chodziłam tam krótko, bo po prostu cały czas zazdrościłam starszej siostrze, że to, że tamto, a jak już poszła do szkoły, to ja nie mogłam znieść, że ja jestem tylko w przedszkolu. Siostra chodziła do urszulanek, ale mnie tam nie przyjęli, bo ja miałam niepełne sześć lat wtedy, za to przyjęli mnie do „trzynastki” „Trzynastka” to była szkoła, dzięki której powstaje książka. Mieściła się przy ulicy Narutowicza. Po prawej stronie, idąc od nas, był duży parkan i w podwórzu, a właściwie to nie było podwórze, tylko boisko, wchodziło się od strony oficyny. Pierwsze, co można by powiedzieć o szkole, to to, że wszystkie podłogi, schody i tak dalej były wysmarowane ropą czarną, to było pewnie z mieszkań prywatnych przekształcone. To była tylko szkoła podstawowa, klasy były liczne, w mojej klasie było 47 osób. Nie było żadnej katedry, tylko płasko stał stolik, ławki były z podnoszonymi kłapami, tam pod spód chowało się swoje rzeczy. Nie było żadnej szatni, po prostu stały wieszaki, na których wieszano się ubrania. W tym czasie nie chodziło się jeszcze w mundurkach, każdy przychodził w jakimś tam swoim ubraniu, później nastąpiły mundurki, to był okres, kiedy obowiązkowe były fartuszki dla dziewczynek, dla chłopców zresztą też, tylko krótsze. Ubikacje były na zewnątrz, trzeba było wychodzić na dwór i chodzić w fatalne, koszmarnie, zimne kłitki, takie bez sedesów, tylko z kucaniem, to było coś koszmarnego. Przerwy odbywały się po prostu na boisku. Boisko było nieutwardzane niczym, to było coś w rodzaju klepiska. Znalazłam tylko dwie fotografie z tego okresu. Pierwszą z pierwszej komunii, na

schodach Łopacińskiego, wszystkie dzieci z parafii przy kościele na Bernardyńskiej, do którego należeliśmy, zawsze tam miały zdjęcia pamiątkowe po pierwszej komunii. Drugie zdjęcie mojej klasy zrobił fotograf, który przyszedł, kiedy byłam w czwartej klasie. Zdjęcie jest bardzo słabej jakości, załamane w pół, ale to tylko świadczy o tym czasie, który upłynął. Można sobie porównać dzieci z pierwszej klasy i późniejsze. Mówiłam, że moja książka zaczynała się od tego, że poszukiwaliśmy tej szkoły numer trzynaście i okazało się, że mój brat wcale do tej „trzynastki” nie chodził, bo potem wybudowano „tysiąclatkę” a brat jest cztery lata młodszy ode mnie, więc chodził już do eleganckiej szkoły, gdzie chodziło się nawet w pantoflach specjalnych, bo tam były parkiety i tak dalej. Także ta „trzynastka” to nie była taka szkoła z prawdziwego zdarzenia.

13. „Trzynastka” i „tysiąclatka”

„Tysiąclatka” miała wejście od ulicy Górnej, z tyłu. W tym domu, gdzie była z kolei „trzynastka” był również dom dziecka. Później mieściła się tutaj też część „Teatru NN” Jak szkołę przeprowadzono do „tysiąclatki” to dom dziecka przejął te pomieszczenia po niej. Później ten dom dziecka się wyprowadził również i muszę powiedzieć, że jak stałam na tym podwórku, to rzeczywiście ubikacji nie ma i tego smrodku, bo nasz woźny bardzo dużo chloru wysypywał tam. Chloru czy innego jakiegoś środka strasznie śmierdzącego, tych nie ma, ale za to cała masa budek jakichś narosła tam, no i ząb czasu bardzo to podwórko oszpecił. Domu dziecka już też tam nie ma. I tak sobie pomyślałam, że ludzie żyjący tam chyba nie widzą tej brzydoty. Bo to nie potrzeba wielkiego remontu, czasami wystarczy tylko troszeczkę posprzątać. Ale tak to jest. W tej „tysiąclatce” o której opowiadam, w tej chwili mieści się szkoła muzyczna. Ale zbliża się rok [19]55, kiedy urszulanki dostały zakaz przyjmowania następnych uczniów, zamknięto program nauczania i moją siostrę trzeba było zabrać z urszulanek. Mama pomyślała sobie: „Nie, no to biorę obie dziewczynki, przenoszę do 'Unii'” Tam chodziłyśmy tylko rok. Basia była wtedy w siódmej klasie. Razem z Basią przeszła cała grupa urszulanek, tak je nazywano. Zupełnie niedawno, przed śmiercią mojej mamy, czyli gdzieś w 2013 roku dowiedziałam się, dlaczego byłyśmy tam tylko przez rok. Mianowicie dziewczynki, wygłupiając się, na melodię hymnu Związku Radzieckiego, śpiewały: „Niezlomny jest związek zbieraczy podwiązek” Dyrektor szkoły, bojący się bardzo, powiedział, że te, które wyłapano, nigdy nie dostaną się do szkoły ogólnokształcącej, do jego szkoły. I, *nolens volens*, mama zabrała córki, obie, mimo że ja się tam doskonale czułam i przeniosła nas do „jedyńki”

14. „Jedynka” czyli szkoła numer jeden

„Jedynka” to była szkoła TPD przy ulicy Lipowej. W tym zespole były trzy szkoły: „ósemka” „dziewiątka” i „jedynka” Tamte były podstawowe, a „jedynka” miała szkołę podstawową i szkołę średnią. Ja poszłam do siódmej klasy szkoły podstawowej,

skończyłam ją, a potem do liceum. Sporo jest różnych opowieści o tej szkole, naszych wspomnień. Chodziłam do łacińskiej klasy, siostra chodziła do niemieckiej, to znaczy z językiem niemieckim. Oczywiście to jest warte zapamiętania, że w tym czasie nie było koedukacyjnych szkół, a więc w tym wypadku to była żeńska szkoła. Mnie się zdaje, że ja nie zamieszczę całego rozdziału o szkolnictwie, a szkoda, bo ktoś powinien napisać o szkołach z tamtego okresu. Po prostu ja chcę o swoich refleksjach i swoim Lublinie, tym najbliższym, pisać, ale na przykład żeńskie szkoły były zapraszane przez męskie szkoły, czyli chodziło się na zabawy do Staszica albo na zabawy do Zamoyskiego. To były normalne historie, wtedy to była wielka sprawa, zwłaszcza że na przykład klasa mojej siostry, maturalna klasa, została zaproszona do Zamoyskiego i tam był literacki bal kotyliowy, gdzie losowało się partnerów i moja siostra wylosowała partnera. On był królem Kazimierzem, a ona była Esterką, odprowadził ją do domu król Kazimierz, a potem po wielu latach został moim mężem. To taka dygresyjka, ja tak czasem skaczę z tematu na temat. We wstępie do mojej książki napisałam, że ktoś może mi zarzucić, że to, co piszę o Lublinie, też jest takie troszeczkę „skaczące” z ulicy na ulicę, że niektóre ulice pomijam, że dzielnice całe pomijam, ale chcę podkreślić to, że to nie jest żaden przewodnik po Lublinie, a refleksje po powrocie do kraju o moim Lublinie, który się zamykał w określonych granicach. Na Bronowicach na przykład w życiu nie bywałam. Wracając do tematów szkolnych, matury nie zdałam w Lublinie. To też jest historia. Dyrektorką liceum była pani Jaroszowa, osoba dosyć kontrowersyjna, powiedziałabym dzisiaj. Moja starsza siostra miała bal maturalny, a ja, ponieważ byłam uzdolniona plastycznie, zrobiłam dla nich dekoracje. Pani dyrektor powiedziała, żeby nic nie było „sraczkowatego” koloru, a druga rzecz, że nie wolno przybijać gwoździami. Usłuchałam jej, bal był pod hasłem „Łajka w świecie” bo to było właśnie wtedy, kiedy Łajka wyleciała w kosmos, granatowe zasłony były upstrzone gwiazdami, gdzieś tam ta Łajka latała, a oprócz tego jeszcze gdzieś tam na Księżycu umieściłam cały band grający, jazzowy oczywiście. Ale na bocznych ścianach też musiałam coś zrobić, gwoździ nie można było, to ponaklejałam ilustracje. Oczywiście plamy były straszne, wezwana została mama, pani dyrektor zrobiła straszny „wygawor” jeszcze powiedziała, że „najgorszą rzeczą jest to, że po tą uczennicę przyjeżdża samochodem jej chłopak i jeżdżą gzić się w krzakach!” Moją mamę zamurowało, a że ja byłam pyskata, to powiedziałam: „Jeżeli pani zapłaci za wizytę u ginekologa, to dam zaświadczenie, że jestem dziewicą!” Po tym incydencie nie miałam co robić w szkole. Powiedziano, że matury tu nie zdam.

15. Bal maturalny w Milanowie

Mama dowiedziała się, że w Milanowie, powiat Parczew, jest szkoła, do której zsyłają niepokorne dzieci. Większość, może dziewięćdziesiąt procent to była ludność miejscowa, ale oprócz mnie było kilka takich właśnie, z Warszawy, z Lublina. Prowadziła tą szkołę właśnie taka pani dyrektor Glinicka, była to dama, a sama

szkoła mieściła się w dawnym dworku Czetwertyńskich. Niedawno przeczytałam, że ją zlikwidowano. Smutne, ale prawdziwe. Chcę tylko dodać, że księżę Czetwertyński, potomek właściciela, od czasu do czasu przyjeżdżał i był podejmowany wtedy w domu pani dyrektor. Ona była też z tak zwanego dobrego domu i było to święto wielkie. Myślę, że było mu strasznie przykro patrzeć na zniszczenia, które powstały niestety w tym przepięknym angielskim parku. Nie zadbano po prostu, trudno się mówi, żyje się dalej. Może teraz zrobią coś ciekawego, ładnego. Mam wiele pięknych wspomnień z tej szkoły. Na bal maturalny mój chłopak przyjechał samochodem. To wtedy należało do rzadkości. Ja zamówiłam sobie specjalnie piękną białą sukienkę, kupioną „na ciuchach” ale nie miałam pantofli odpowiednich, więc w komisie udało mi się kupić czółenka na wysokim obcasie. Trochę były za ciasne, ale ja podkurczyłam nogi i byłam piękna, a potem okazało się, niestety, że babcia miała rację, bo babcia mówiła rzecz, którą warto zapamiętać, że w dawnych czasach panie miały buty na wejście na bal, a po dwunastej zmieniały na buty roznoszone. Ja nie miałam tych zapasowych butów i w takich czerwonych ciapach przetańczyłam resztę nocy.

16. Znajomi z dzieciństwa

Jedyną osobą, z którą utrzymuję kontakt, jeszcze ze szkoły podstawowej, jest Wala Kunicka, wtedy się nazywała Kunicka. Wala była wnuczką profesora [Władysława] Kunickiego, założyciela tejże szkoły, córką światowej sławy profesora [Władysława] Goldfingera-Kunickiego, antropologa. Z nią utrzymywałam kontakty cały czas, jeszcze niedawno spotkałyśmy się, żeby sobie pewne rzeczy uściślić, odnośnie właśnie szkoły. Ja pamiętam głównie dziewczynki, oczywiście to była szkoła podstawowa koedukacyjna, były dziewczynki z domu dziecka, tego samego, przy którym mieściła się szkoła. Było widać, jakie one są biedne. Zbyt krótko chodziłam do Unii, aczkolwiek mam nawet właśnie kilka zdjęć z koleżankami i kolegami, z którymi gdzieś tam pogubiłam się po drodze. Natomiast więcej znajomości zawarłam w „jedynce” Pamiętam taką tragiczną historię. Moim kolegą w szkole podstawowej, był chłopak, nazywał się chyba Edek Grzelak, którego brat zamordował oboje swoich rodziców młotkiem. To był ten sam rok, kiedy startował „Kurier Lubelski” który podawał ogromne artykuły na ten temat. To było straszne morderstwo i do dzisiaj zapamiętane, zwłaszcza pogrzeb tych ludzi, dlatego że to byli komuniści i chyba pierwszy raz w życiu widziałam kondukt pogrzebowy z czerwoną jakąś płachtą i na samochodzie dwie trumny stojące, oczywiście bez księdza i tak dalej. My mieliśmy specyficzną sytuację, ja mieszkałam w domu, w którym nie było podwórka tak zwanego, nie było gdzie się bawić, zresztą dom był mały, bo wojna przerwała budowę, a potem zadaszono, natomiast obok mnie był dom pocztowców. To była kamienica trzypiętrowa, w której potem jeszcze dobudowano czwarte piętro. Tam było mnóstwo moich rówieśników i w związku z tym, mimo że babcia kazała nam bawić się w ogrodzie naszym, który był dalej, to jednak najfajniej było się bawić z kolegami. W swojej książce wymieniam z imienia i nazwiska: Zybka Marian, Romka

Nadcyna, Maryla Saburyn i tak dalej. Fragment o domu pocztowców zamieściłam na linku „Uroczy Lublin” robię to co pewien czas, i natychmiast odezwała się dziewczyna: „Oj, to Pani opisuje o moim dziadku!” A wracając do naszych sąsiadów, dom pocztowców rzeczywiście był zbudowany chyba w latach trzydziestych dla pracowników poczty i był to budynek nowoczesny, podobno na wzorcach szwedzkich. Nie miał windy wprawdzie, ale na przykład miał pralnię dla wszystkich mieszkańców, co było w tamtym czasie naprawdę niezwykle. Chodziliśmy oglądać to z zaciekawieniem. Przede wszystkim było tam podwórko, a na tym podwórku trzepak, to przecież wszystkie dzieci kochały trzepaki, to było nasze miejsce, ale oprócz tego pan Dybkowski miał również pocztowe gołębie. I to było fascynujące, jak się patrzyło, jak on tam wypuszczał je i na żerdzi miał szmatę, kręcił nią wokoło, a one tak dokładnie, jak on wskazywał, latały. Podobno brały udział w jakichś tam przelotach i dostawały nagrody nawet. A nasz adres pamiętam dokładnie, tak jak się nauczyłam jako mała dziewczynka: Szczerbowskiego 9, mieszkania 1, telefon 14-57. Z tym że później numerację zmieniono. Na rogu Szczerbowskiego i Nowej Drogi był ogromny tartak parowy. Pachniało tak wspaniale, jak otworzyło się okna, ten jazgot pił i zapach został mi w pamięci. I później, jak ten tartak zlikwidowano, wybudowano tam dom, w związku z czym zmieniono całą numerację i w tej chwili to jest numer pięć. Wtedy, gdy się wprowadziliśmy, w [19]44 roku, były tylko dwa domy na tej ulicy, tylko pocztowców i nasz, nic więcej nie było.

17. O ulicy Szczerbowskiego

Z okolic naszego domu pamiętam duży ogród pani Sawickiej, sięgający aż po ulicę Narutowicza. Uważałam, że to nasz ogród, a potem dowiedziałam się, że my tylko wynajmowaliśmy od niej ten teren. Na miejscu tego ogrodu w tej chwili jest ogromny dom, taki w literę L, róg Strażackiej i Szczerbowskiego. A nawiasem mówiąc, raptem czytam, że ulica Szczerbowskiego, to jest ulica Adama Szczerbowskiego, pisarza, poety i tak dalej. I tu dostałam małego rozumu: jak to? Przecież to jest „strażacka”dzielnica, jest szkoła Pożarnicza, jest ulica Ochotnicza, straż. W związku z tym ulica „strażacka”powinna być ulicą Antoniego Szczerbowskiego, też na A. Antoniego Szczerbowskiego, który był wynalazcą ruchomej maszyny, tej drabiny w wozie strażackim, która się wysuwa i po której można się wspinać, którą na przykład w Szwecji nazywają „polską drabiną” Nazwisko Szczerbowskiego byłoby trudne do wypowiedzenia, więc „polska drabina” Ta drabina poszła w świat! Później, jak zaczęłam szukać informacji, to się okazało, że Adam był synem Antoniego. Nie wiem, czy nie powinno się wrócić do Antoniego, a Adamowi dać jakieś inne miejsce. Straż wybudowano w latach pięćdziesiątych. Wiem z opowiadań, że tam przed wojną był jakiś hodowca krów i miał swoje obory. To był Żyd, który zginął na Majdanku. Tych obór nie pamiętam. *Vis à vis* mnie były ogrody braci Rębowskich. Była też szkoła pożarnicza. Ja mam dosyć ciepłe wspomnienia z tej szkoły, dlatego że jak młodzi strażacy ćwiczyli oblewanie, że tak powiem, to czasami, w takie ogromnie ciepłe dni,

puszczali aż na nasz ogród i wtedy my z siostrą przebiegałyśmy sobie pod tą wodą. Strażakom się to bardzo podobało. Komendantem w szkole strażackiej był pan [Mieczysław] Styłski, a ja często bywałam u nich w domu, nie wiem, czy oni mieli dzieci, w każdym razie bywałam tam, nieraz zostawałam na obiadach. Nawet przez okna patrzyłam, jak młodzi strażacy ćwiczą. Oni mieli zajęcia nie tylko tam, ale również jeździli do prawdziwych pożarów. I tutaj pożar w Bengalu to jest coś, co zapamiętałam na całe życie. Bengal to była fabryka past do podłóg na ulicy Lubartowskiej. Od Lubartowskiej do Szczerbowskiego jest szmat drogi, ale jak to się paliło, to była łuna ogromna i wybuchy takie, to było jak fajerwerki. Wiem, że z tatą weszliśmy na dach naszego domu i oglądaliśmy to. Nasz dom był jednopiętrowy. Był projektowany na trzypiętrowy, ale wojna przerwała jego budowę. Właścicielką jego była pani Jaworska w tym czasie, kiedy my tam mieszkaliśmy, jeszcze wcześniej byli państwo Mijakowscy, ale za naszych czasów już się wyprowadzili. W książce cytuję sporo opowieści pani Jaworskiej, lubiłam jej słuchać. Ona opowiedziała mi sporo rzeczy o Lublinie.

18. „Otwierają etnografię!”

Zdałam maturę i zastanawiałam się, na jakie studia pójść, dla mnie to było oczywiste, że trzeba studiować, podobnie dla mojej mamy, która nas wychowywała po odejściu ojca. Jestem trzecim pokoleniem z wyższym wykształceniem, bo moja babcia już miała studia na Politechnice we Lwowie skończone, mama też, tyle że w Lublinie. Dlatego dla mnie to było tak oczywiste, że będę studiować, złożyłam podanie na prawo, bo mój chłopak studiował na prawie. Byłam jeszcze wtedy w Milanowie, nagle moja siostra dzwoni poprzez sekretariat i mówi: „Ania, otwierają etnografię w Lublinie. Wala powiedziała, że tego nie ma w tych informatorach, więc będzie mało kandydatów. Zabieraj swoje dokumenty!” Zabrałam i przeniosłam na etnografię, na humanistykę na UMCS i dzięki temu stałam się etnografem. Wiedziałam, że *ethnos* to jest „lud” *graphos* to jest „pisać” ale nie bardzo miałam więcej informacji. Były to najciekawsze studia, na jakie można było pójść, śmiem twierdzić, zwłaszcza że było nas tylko pięcioro na roku. Szefem był profesor Roman Reinfuss, przyjeżdżający z Krakowa i właściwie byliśmy jego rodziną. Nauczył mnie jednej rzeczy: że punktualność jest szalenie ważna. Profesor był niesamowity, często jeździliśmy w teren, jego żona też była etnografem. Zwykle nas wypuszczał w teren i były miejsca, gdzie trzeba było przyjechać. I któregoś razu pani Zofia spóźniła się i odjechaliśmy bez niej. Bidulka musiała jakimiś dziwnymi środkami komunikacji dostać się do bazy, bo jeśli profesor powiedział: „Punkt styku godzina dziesiąta!” na przykład, to musiała być godzina dziesiąta. Nie ma przeprosin, nie ma akademickiego kwadransu. Tak nawiasem mówiąc, to chyba tylko polski wymysł, bo w Szwecji też nic o tym nie słyszeli. Jak jest się umówionym gdzieś na godzinę dwunastą na przykład, to jest się o dwunastej, jak się troszeczkę wcześniej przyszło, to się wkoło chodzi, żeby doczekać do dwunastej, a jeżeli się przyjdzie po dwunastej piętnaście minut, to

znaczy, że jest się źle wychowanym człowiekiem. *C'est la vie!*

19. O studiowaniu etnografii

Pierwotnie filia UMCS-u, w której znajdował się nasz zakład etnografii, jak również i archeologii, gdzie studiowała Wala Kunicka, a my byliśmy bardzo blisko, mieścił się na Placu Litewskim w tym budynku, w którym teraz też jest UMCS, no ale już nie ten, co kiedyś. My byliśmy sekcją, tak to się nazywało, sekcja etnografii, zawsze na wykładach typu logika czy ekonomia i tak dalej byliśmy „doczepiani” do historyków, do wydziału historycznego, bo trudno byłoby dla pięciu osób organizować osobny wykład. Natomiast zajęcia typowo etnograficzne, ale również i archeologiczne, bo sporo było archeologii, mieliśmy też literaturoznawstwo, wszystkie te zajęcia były tu na miejscu, dlatego że te zakłady tu się znajdowały. To była naprawdę ekskluzywna historia, mieć profesora, który wprowadzie tylko raz w miesiącu przyjeżdżał na cały tydzień, tak to mieliśmy zajęcia z asystentem, ćwiczenia. Na jedne z nich przyjeżdżała pani Matusek z Krakowa, ale to doktor Marczakowa Krystyna, opiekunka naszego roku, była na miejscu, z Lublina. Z tego okresu nawiązuje się niesamowite przyjaźnie, ze mną na roku był Alfred Gada, który potem był dyrektorem Muzeum Lubelskiego, później był w Wydziale Kultury, niestety zabrał go cholerny rak. Drugim chłopcem był Celek Wrębiak, też się rozstał z życiem, zostaliśmy trzy, czyli ja, Danuta Powiłańska-Mazur, która pracowała również na Zamku, zresztą nie tylko, ale głównie, była kierowniczką Działu Etnograficznego, i Ela Kryk, która później się nazywała Kępa. Ona pracowała najpierw w skansenie, a potem w muzeum etnograficznym, tutaj na Zamku. Z Danusią utrzymuję kontakt, niemalże ścisły, z Elą od czasu do czasu. Były tylko trzy roczniki, potem zamknięto etnografię, ale z innymi rocznikami nie mam specjalnego kontaktu. Z tym że na przykład, kiedy wróciłam po emigracji krajowej, tak jak ja to nazywam, bo w Węgorzewie mieszkałam przez jakiś czas i wróciłam do Lublina, to po Marylce Meksułowej, która była wcześniej dyrektorem Biura Zarządu Głównego Stowarzyszenia, po prostu odziedziczyłam tę pracę i przez trzy lata byłam dyrektorem właśnie w tymże stowarzyszeniu, które wtedy jeszcze mieściło się przy dzisiejszej Bernardyńskiej i dopiero załatwialiśmy lokale, ja między innymi miałam całą masę korespondencji z Wydziałem Kultury i z budowniczymi tego lokalu, który w tej chwili znajduje się na Starym Mieście.

20. „Zaprojektowana na chłopaka”

Gdy byliśmy dziećmi, to w lecie wiadomo, spędzaliśmy czas wolny głównie na zabawach na podwórku, moja siostra dostała w prezencie piłkę do siatki, więc często graliśmy. Oczywiście nie było możliwości dostania skądś siatki, więc to była raczej piłka do kopania na podwórku. Zimą było przede wszystkim lodowisko na Grottgera. Tam był kort tenisowy, na który wężem lano wodę tak, że zmieniał się potem w lodowisko. Pamiętam, że byłam przerażona, jak chłopcy robili tak zwanego węża, jeden za drugim, jeden za drugim, jeden za drugim i ten wąż falował i nas, którzy

dopiero przyszliśmy, niemalże zgniatał. Próbowałam, jak już lepiej jeździłam, kilkakrotnie doczepić się do nich, ale to była zbyt wielka historia. W okolicy był również basen. Był cudowny, wprawdzie mały, to nie był olimpijski basen, chyba dwadzieścia pięć metrów, nie pamiętam dokładnie, ale za to bardzo głęboki. Tam była trampolina, skakało się i miałam tam małą przygodę, ponieważ byłam taką trochę chłopczycą, to skakałam z najwyższej trampoliny na nogi oczywiście, a któregoś razu założyłam się z chłopakami, że skoczę na głowę. I skoczyłam. Wygrałam zakład, tylko że było tak: kostium miałam dwuczęściowy, przez samą siebie szyty, piętnaście lat miałam wtedy. W trakcie tego skoku nabrałam widocznie zbyt dużo oddechu, bo zgubiłam stanik. Było dużo radości, zwłaszcza jak chłopcy potem nurkowali, żeby ten stanik znaleźć. Woda była tam tak chlorowana, że oczy się miało czerwone jak królik, włosy pachniały, nie było żadnych kabin, gdzie można było przysznic wziąć, nie było nawet szatni, ale kochałam to. Był również jeszcze inny basen na Lubomelskiej, ale tam później już nie chodziłam. To był większy basen, jak oglądałam stare zdjęcia, wprawdzie mnie tam na nich nie ma, ale za to jest taki tłum, że nie wiem, jak my się tam mieściliśmy. W ogóle sprawa basenów to też jest temat do podjęcia, jak napisałam taki fragmencik na stronie „Uroczy Lublin” odezwali się do mnie ludzie, którzy pisali o swoich wspomnieniach z Bronowic czy innych dzielnic. Ja byłam wariatka, w ogóle byłam zaprojektowana na chłopaka i tata był bardzo rozczarowany, jak zobaczył, że to druga córka. Ja też zresztą byłam rozczarowana i w okresie dzieciństwa bardziej się z chłopakami identyfikowałam, tym bardziej że ojciec mnie nauczył grać w piłkę, zwykle stawałam na bramce, dobry miałam wyrzut, jeździłam konno. Był tor wyścigowy i tam właśnie tata uczył mnie jeździć konno. A *vis à vis* Parku Ludowego był tor żużlowy, do dziś jestem fanką żużla, tam się chodziło, cztery złote kosztował bilet, ale chłopcy wchodzili przez druty, pod mostem, no i oczywiście ja musiałam też tak jak oni. Tam takie druty kolczaste były na ogrodzeniu, żeby nikt nie wchodził, i raz zawisłam tam przez tę wredną spódnicę. Wróciłam z takimi paseczkami zamiast spódnicy, ale to były czasy, gdy Szwendrowski, mistrz Polski, jeździł i po prostu trzeba było to zobaczyć. To też należało do sposobów spędzania wolnego czasu.

21. „Szalenie ciekawe studia”

Na Plac Litewski chodziłam na logikę, potem na filozofię, marksistowską i nie tylko. Z socjologii zajęcia miałam na ulicy Marii Curie-Skłodowskiej, tam też przyjeżdżał pan doktor Kwaśniewski, po prostu genialny facet. Na egzaminie końcowym powiedział nam: „Proszę państwa, to jest ostatni moment, kiedy państwo mogą się czegoś nauczyć. W związku z tym, jeżeli ja przerwę i coś dodaję, to słuchajcie!” Na początku wymyślił jeszcze taką rzecz, że on daje nam receptę na naukę. Po prostu nauka, którą on będzie wykladał, to jest taki regał z książkami. On nam pokazuje, w którym miejscu te książki leżą i jaką książkę wybrać. Socjologiczne podejście. No, studia miałam szalenie ciekawe. Potem nie jeździłam już na żadne inne wakacje, bo zwykle

miałam badania terenowe. Zresztą sędzę, że to chyba najlepszy sposób zdobywania informacji. Profesor specjalnie nas do tego przygotowywał. Powiedział, że trzeba nauczyć się wiersza, napisać scenariusz, ustalić kwestionariusz pytań, a potem przeprowadzać wywiad, tak żeby nie zagadywać człowieka. Zrobił nam zajęcia przy użyciu melodii, to był taki wielki magnetofon, na którym nagrywał nasze wywiady, a on grał rolę takiego opornego informatora, który nie bardzo mówi, ale my mamy go pobudzić do opowiadania, nie sugerując mu jednak żadnych odpowiedzi. Ja miałam pytanie z budownictwa. Ładnie opracowałam sobie scenariusz cały i profesor później odsłuchiwał to nagranie w przyspieszonym tempie. I to wyglądało tak, że najpierw było bardzo długie pytanie wypowiedziane cienkim piskliwym głosem, po czym następowała bardzo krótka odpowiedź wypowiedziana niskim, grubym głosem. To była lekcja pogładowa, która mi się przydała potem, gdy pracowałam jako dziennikarz i robiłam wywiady z ludźmi. Jeździliśmy z asystentką na przykład do Urzędowa, gdzie trzeba było zrobić garncarstwo. Pojechaliśmy w pięć osób jednego dnia, ale braliśmy udział także w obozach, bo był międzyuczelniany obóz etnograficzny, tam poznałam późniejszych przyjaciół, znajomych z innych uczelni. Profesor, oprócz tego że był kierownikiem naszej katedry, był dyrektorem PIS-u, z tym że to był inny PIS, Państwowy Instytut Sztuki. W związku z tym jeździliśmy na „PIS-owskie” obozy. To była możliwość zarobku dla nas, studentów. Zwykle spaliśmy w jakiejś szkole, gdzieś tam na składanych łózkach. Na przykład pojechaliśmy w łukowskie, tam chodziło o dywany dwuosnowowe, które z Podlasia przyszły na to miejsce, inwentaryzowaliśmy kościoły, różne jakieś zakamarki, z których można było wyciągnąć dywany, które miały daty „wtkane” także jeżeli znaleźliśmy na przykład 1812 rok, to były rarytasy, które natychmiast się brało. Inwentaryzacja dotyczyła opisu, rozmowy z tkaczkami, tych wszystkich rzeczy, które etnograf musi robić, ale również które robią rysownicy, bo nie wszędzie można było dojść i na przykład fotografować.

22. Współpracownicy z etnografii

Było dwóch fotografów, pan Urban z Muzeum Lubelskiego, nieżyjący już, zresztą na pierwszym roku uczył mnie fotografii, to był obowiązkowy przedmiot, mieliśmy fotografię i rysunek, a rysunku uczył mnie ojciec znanego grafika, czyli profesor Świerzy pisany przez „rz” nie przez „ż” z kropką. Nawiasem mówiąc, jak byłam na Powązkach, zobaczyłam grób tego grafika, jest napisane: „Tu leży zawsze Świerzy” przez „rz” Na obozy PIS-u też jeździł i zarabiał pieniądze w ten sposób, dokumentował to, co my opisywaliśmy. Na pierwszym roku miał z nami zajęcia z fotografii i filmowania i to były tak zwane nauki pomocnicze etnografii, tak to się nazywało. Jaś był cudownym człowiekiem, nauczył nas tego, jaka to jest „grupa bez sensu” czyli tak specyficznie ustawieni ludzie, dał podstawy fotografii takiej profesjonalnej, takiej dokumentującej. Oczywiście dokumentowało się na przykład pracą tkaczki, ale również i warsztat, także to była sprawa oświetlenia i tak dalej. Drugim fotografem był fotograf Państwowego Instytutu Sztuki, ale z Warszawy, Jurek Świdorski. Też znany

fotograf, dokumentalista. Rysownikami na ogół byli studenci krakowskich uczelni, Politechniki, również szkół plastycznych. Z nazwisk, które utknęły mi w pamięci, z rysowników był na przykład Manfred Piec, podobno bardzo znany grafik. Paciorek, nie pamiętam, jak było mu na imię, był potem profesorem Akademii. I moja skryta miłość, jeszcze jeden chłopak, zwany Kot, czyli pan Koterba. Też już przeszłość. Różnie było, mieliśmy na przykład seminarium z budownictwa, wtedy były wyjazdy na dokumentowanie budownictwa. Poza tym już na czwartym roku dano nam tematy prac magisterskich, pięcioletnie studia były, więc wtedy wyjeżdżało się indywidualnie, żeby zbierać materiały do tych prac. Tak nawiasem mówiąc, mój wtedy już mąż, Tadek Adamski, jeździł ze mną WFM-ką w Bieszczady, ponieważ potrzebne mi były materiały stamtąd i tam złamał część motocykla, takie były bezdroża. Dzisiaj jak sobie jadę i jak pomyślę, ile tych kilometrów na motorze jeździliśmy... Ja na piątym roku podjęłam pracę, bo było już bardzo mało zajęć, ale profesor stwierdził, że mam za mało tych zdjęć dotyczących rolnictwa na terenie Łemkowszczyzny i wtedy Tadek sam pojechał zbierać materiał do mojej pracy magisterskiej.

23. O śpiewie i tańcu

Ja należałam przez rok, może więcej niż rok, do Zespołu Pieśni i Tańca UMCS-u. Za naszych czasów szefowała pani Wirska. Tu jest pewna nieścisłość, dlatego że to jest rok [19]60, [19]61, a już wówczas pan Leszczyński przypisuje sobie zaszczyt kierowania tym zespołem. Wiem na pewno, że w tym czasie, a ja zaczęłam studiować [19]60/[19]61, była pani Wirska. Podejrzewam, że nazywała się Zofia, ale nie pamiętam imienia. Później miała z nami jeszcze rytmikę i jakieś inne zajęcia. Ale potem odeszła. Pan Leszczyński musiał zostać kierownikiem zespołu później. „Chatki Żaka” jeszcze w ogóle nie było, więc mieliśmy zajęcia między innymi w szkołach. A oprócz tego, to było niesamowite, próby odbywały się też w takiej hali nad Bystrycą, tam gdzie była przystań LPŻ kiedyś. Tam była hala, gdzie były przechowywane kajaki i w tej hali odbywały się zajęcia. To było śmieszne, bo często po kilku godzinach tańca szło się na „fajf” do „Lublinianki” żeby potańczyć jeszcze trochę. Tak, lubiliśmy tańczyć. Późniejsze studia sprawiły, że ja już zarzuciłam zespół, a muszę jeszcze powiedzieć, że w szkole średniej też tańczyłam w zespole, przez całe cztery lata. Studenckie wyjazdy w teren, zajęcia nie pozwoliły ciągnąć tego. Ale były to też fajne czasy. Pamiętam występy nasze na przykład w koszarach lubelskich przy dzisiejszej Kraśnickiej. Nie wiem, z jakiej okazji tam tańczyliśmy, pewnie były tam obchody jakiegoś święta narodowego. Niedawno spotkaliśmy się właśnie ze znajomymi, z którymi tańczyłam w zespole.

24. Zacięcie etnograficzne

Byłam w kole naukowym, funkcjonowało koło naukowe etnografów i po jednym z obozów stworzyliśmy coś w rodzaju takiej stałej komisji. W Warszawie się odbywały spotkania, stali członkowie byli do spraw kół etnograficznych. Pamiętam, że

prezesem był dzisiejszy profesor Lech Mróz, taki wspaniały cyganolog późniejszy. Stwierdził po jakimś czasie, że należy zmieniać ośrodki, ale osoby mają być te same, bardzo dobrze się czuliśmy w takim swoim towarzystwie. Były zjazdy wyjazdowe, spotkania w Lublinie, wyjazdy do Poznania, do Łodzi, bardzo to było interesujące. W Łodzi był syn profesora [Władysława] Jewsiewickiego, tego z filmówki i ten jego syn zrobił film jako pracę seminaryjną chyba, potem również magisterską, jak dziś pamiętam, „Darcie pierza na Podhalu” Tak nawiasem mówiąc o pięknych rzeczach, powiedziałabym, że jest temat do zinwentaryzowania, mianowicie tak zwane odboje. Dawniej przy bramach wjazdowych tworzone były te odboje, kilka zobaczyłam, pomyślałam sobie: Boże, jaka piękna jest ich różnorodność. To jest rzecz, którą trzeba by gdzieś zapisać, bo one niedługo zginą. A druga rzecz, to jak szłam po Narutowicza, to zobaczyłam, jak piękne mamy tam balkony. Mieliśmy fabrykę żeliwną, to jest też temat do zinwentaryzowania. Szkoda, że tak czasu mało i że ten czas tak szybko ucieka, bo jest tyle rzeczy, które warto by było ocalić od zapomnienia. Dlatego mnie interesują rzeczy takie, których za moment nie będzie, po prostu. A etnografia to nie tylko wieś. Ośrodek łódzki, warszawski też, zajmował się głównie miejską historią. Przekształciło się to potem na kulturoznawstwo, w porządku, nazwy można sobie mnożyć. Nas uczono, że jest etnografia i etnologia, etnograf opisuje, a etnolog robi z tego syntezę, ale może być i kulturoznawstwo, ważne jest tylko, żeby zapisywać to, co jest takie ulotne.

25. Pierwsza praca

Było pięć lat studiów, w [19]60 rozpoczęłam, absolutorium dostałam w [19]65 roku, ale nie zrobiłam jeszcze pracy magisterskiej, ponieważ na piątym roku studiów podjęłam pracę zarobkową w archiwum szpitala PSK4. Na dole, w piwnicy mieściło się archiwum, tam napisałam pracę magisterską. Bardzo dobrze zorganizowałam sprawę, mianowicie tak to wyglądało, że ponieważ to był szpital kliniczny, więc tam spływały z laboratorium różne wyniki badań, wkładało się je do odpowiednich teczek, a naukowcy, lekarze przychodzili i wypożyczali. Stwierdziłam, że mają to robić do godziny jedenastej, maksimum do dwunastej, a potem zamykałam, bo przecież musiałam wszystko uporządkować. A że potem siadałam i pisałam pracę, to już jest druga rzecz. Jak odeszłam stamtąd, to druga etnografka, która też nie miała pracy, Ela, objęła po mnie to stanowisko. Dlaczego w ogóle w Lublinie powołano etnografię? Bo mieliśmy być kadrą do tworzącego się muzeum-skansenu, tylko że skansen w tym czasie był na papierze i przez pięć lat naszych studiów w dalszym ciągu pozostał na papierze. Doktor [Jan] Górak, który był późniejszym dyrektorem, chciał, żeby to było blisko zamku, czyli na kirkucie. Żydzi powiedzieli: „Wara!” chociaż może to nie tak było, to jest taka uproszczona wersja wydarzeń, w każdym razie ta idea upadła, także skończyliśmy studia i byliśmy bezrobotni. Ówczesna dyrektor muzeum, pani [Irena] Skrzycka, która zresztą miała z nami muzealnictwo, jako przedmiot na studiach, przyjęła oczywiście chłopaków do pracy, do muzeum, a dziewczyny, we trzy, musiały

sobie radzić same, więc ja byłam w szpitalu, koleżanka była sekretarką w jakimś towarzystwie, coś trzeba było robić. Ela najpierw była bezrobotna, a potem zajęła moje miejsce, a ja przeszłam do Miejskiego Domu Kultury. To też jest temat-rzeka.

26. Jeszcze o czasach studenckich

Nie mieszkałam w akademiku, bo byłam Lublinianką. Na trzecim roku studiów wyszłam za męża i byliśmy jedyną z naszej paczki rodziną posiadającą mieszkanie. Właściwie mieszkałam na działce, w letnim domku teściów. W związku z tym życie towarzyskie przeniosło się na tę działkę. Grałam namiętnie w brydża, wtedy była taka moda, więc w domu odbywały się indywidualne turnieje, niejednokrotnie kończące się nad ranem, chociaż wtedy się już grało w pokera. Mieszkałam na ulicy Strzeleckiej, na której były dwa domy tylko, a wkoło były zboża i pola. Dochodziło się do tej Strzeleckiej przez Żołnierską w dół i dalej pomiędzy polami przechodziło się na górę. Oczywiście wszystko to na Sławinku. Był to letni domek, tylko po to postawiony, żeby można tam było zrobić jakieś przetwory czy coś w tym rodzaju, mój teść był z zamiłowania ogrodnikiem, a z wykształcenia prawnikiem, adwokatem. Nasadził całą masę tych drzew, potem jak wyrosły, trzeba było je nawet wycinać, bo było ich za dużo, ale były cudowne wiśnie w dwóch różnych okresach owocujące, także było z czego robić konfitury. Więc postawili tam taki baraczek, to nie był piękny dom. I tam spotykali się głównie koledzy mojego męża, czyli prawnicy. Moją przyjaciółką z tamtych czasów i przyjaciółką do dzisiaj pozostała profesor Ewa Gdulewicz, z którą przyjaźnię się ponad pięćdziesiąt lat. Innych nazwisk nie będę wymieniać, ale była to grupa fajnych ludzi, razem wybieraliśmy się na przykład na Kozienalia. U mnie w domu szyło się stroje i tak dalej. Wszyscy byliśmy studentami, ale dom nazwaliśmy Domem Młodzieży, razem kopaliśmy ogródek, razem kopaliśmy rowy, żeby przeprowadzić wodę do tego domku, bo przecież nie było wody. Było ujęcie na Strzeleckiej, ale w tym domku letnim nie było, trzeba było na początku wiadrami przynosić. Przypomina mi się w tej chwili taka anegdota, chłopcy uczyli się do filozofii, na egzamin. Uczyli się, powtarzali sobie: Tales z Miletu, Pitagoras z Nerji i tak dalej. I w tym momencie weszła koleżanka, a któryś z nich powiedział: „No i nie zapominajmy o ‘edesie z Bakelitu’, a ona, taka naiwniutka, powiedziała: „Nie, chyba takiego filozofa nie było...” Rzecz jest o tyle zabawna, że ponieważ w tym domu nie było kanalizacji, to jak się zrobiło, to moja mama dawała nam chyba trzy czy cztery razy pieniądze na „sedes z bakelitu” A wracając do juwenaliów, spod „Chatki Żaka” wychodził korowód. Wszyscy byli poprzebierani. Kolega mój był ubrany w zielony mundur i miał czerwoną taką małą książeczkę i on był Mao. Różne stroje były. Ja wiem tylko tyle, że na trzeźwo, bez żadnych jakichś alkoholi, skakaliśmy po samochodach. To nieładne, ale tak było. Raz tylko uczestniczyłam w Kozienaliach, potem już nie bardzo nam to szło. Każdy już kończył studia i pracował, to już nie tak często chodziło się w tamte rewiry, nawiasem mówiąc, nie wspomniałam jeszcze o „Chatce Żaka” „Chatka Żaka” powstawała w [19]64 roku, czyli już pod koniec moich

studiów. W ogóle Miasteczko Uniwersyteckie znałam, ale życie akademickie dla mnie, praktycznie rzecz biorąc, nie istniało, ponieważ byłam z Lublina, natomiast polecono mi, żeby taki tygodniowy kurs przygotowujący do Uniwersytetu spędzić i tam wtedy nas zakwaterowano w Bloku A. Wtedy tydzień mieszkałam, ale waletowania, jakichś „holówek” w akademiku to niestety nie znam, ta część odeszła, siłą rzeczy. Jak etnografia przeniosła się do Humanistyki, to często wpadaliśmy do „Tip-Topu” na kawę. Tam był ekspres, można było się napić kawy, to nie była jeszcze wtedy restauracja, ale kawiarnia. Drugim takim miejscem to była „Lublinianka” ale to jeszcze we wcześniejszym okresie, bo w ogóle picie kawy to była nobilitacja. W tych czasach nie było bardzo dużo kawy. Właściwie pierwsze kawy, które piłam, to było u Widelskiego w palarni kawy i kawiarni, bo najpierw była w pierwszym miejscu palarnia, właśnie w tym malusieńkim lokaliku przy teatrze, to też jest następny temat, ale opisany przeze mnie. Teraz, chyba w 2014 roku telewizja nagrywała do programu „Afisz” właśnie w „Chatce Żaka” ze mną wywiad i przy okazji połączyłam trochę po Miasteczku, no i tak pomyślałam, jak wiele się zmieniło, jak to rozrasta się niesamowicie i bardzo dobrze. W ogóle Lublin jest piękny.

Data i miejsce nagrania	2019-01-21, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Transkrypcja	Natalia Boczek
Redakcja	Natalia Boczek
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"